



PISMO TYGODNIOWE ILLUSTROWANE DLA KOBIET.

Prenumerata w Warszawie:

We wszystkich księgarniach i kantorach pism periodycznych
po cenie: rocznie rsr. 7 kop. 20; półrocznie rsr. 3 kop. 60;
kwartalnie rsr. 1 kop. 80; miesięcznie kop. 60.

Prenumerata w Cesarstwie i Królestwie:

kwartalnie rsr. 2 kop. 50; półrocznie rsr. 5. rocznie rsr. 10

Wydawca MICHAŁ GŁOCKSBERG.

EXPEDYCJA GŁÓWNA W KSIĘGARNI WYDAWCY

Ulica Królewska Nr 5.

W Cesarstwie Austriackim we Lwowie u Gubrynowicza i Schmidta
kwartalnie flor. 3; na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 80.
W Krakowie: u D. E. Friedleina, kwartał. flor. 2 cent. 75; na pro-
wincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 50.

W W. Ks. Poznańskim: u Leitgebera i Spół., kwartał. tal. pr. 1
sgr 20

MIENIĄCE SIĘ BARWY.

Kiedy wieczorem zamykam oczy,
I wszystko wkoło już poczerniało,
Sen mnie marzącem skrzydłem otoczy—
Ah, jak mi biało!

Myśli w uroczy świat ulatują,
Mój anioł szeptem zaklęcia słowo,
Cudne obrazy wkoło się snują—
Jak mi różowo!

Budzę się rzeźwa i odświeżona,
Witając słońce najpierwszą łezką,
Pierwsze westchnienie ulata z łona—
Jak mi niebiesko!

Kiedy z uśmiechem wybiegam z chatki,
Zobaczyć łakę świeżo zroszoną,
Białe konwalie zrywam i bratki—
Jak mi zielono!

Lecz kiedy słońca, skrytego w chmury,
O jeden promień błagam daremno—
Co chwila wołam w ten dzień ponury:
Ah! jak mi ciemno!

A kiedy widzę, że dla mej duszy
Chwile wiosenne przechodzą marno—
Wtenczas westchnieniem pierś się poruszy:
Ah! jak mi czarno!

Szczęсна.

SŁOWACZKA

NOVELLA

przez

T. T. JEŻA.

(Dokończenia).

Latem 1849 r. przeciągały przez Koszyce wojska, najpierw węgierskie, następnie cudzoziemskie. Stawały one obozem; mimo to miasto napełniało się gwarem i krzykiem. Śród gwaru i krzyku na domek Janosza spadła niespodzianka. Za pierwszym armii posiłkowej nadejściem, na podwórzec wpadł huzar na koniu.

Wpadania tego rodzaju nie były rzadkością żadną, a nie miały na celu zamiarów nieprzyjacielskich. Do spotkania się z nimi służyła specjalnie kobieta stara, kucharka, która miała pod ręką chleb, słoninę i wino w dzbanie. Szmat chleba, kawałek słoniny, kufel wina zadawał gości; gdy zaś któremu zachciewało się czegoś innego, kobieta odpowiadała głosem żalonym:

— *Ninczen, lelkkiem.... ninczen, galambom....*

(Niema, duszko.... niema gołąbku).

Tymrazem atoli huzar, co wpadł, nie o chleb, słoninę i wino, ani o co innego pytał, ale po imieniu na starą zawołał. Stara, jak tylko wołanie usłyszała, wnet do domu wbiegła i w głąb' sadyku przez okno krzyknąć zaczęła:

— *Panie! panno! Panie! panno!*

— *Co tam?— odezwał się z głębi głos Janosza.*

— *Chodźcie jeno!*

Stary pośpieszył i—jakież było uradowanie jego, gdy się spotkał z Franiem!

Krzyknął, zaklął i w ramiona go pochwycił. Z ramion go puścił i kłął.

— *Lenka! — nagle przypomniał sobie i do kucharki się zwrócił:— Idź po nią... tam... wiesz.*

Dziewczyna, młoda i ponętna, przez ostrożność, na wszelki wypadek, w czasie przechodu wojsk z oczu gościom schodziła. Strzeżonego Pan Bóg strzeże. Janosz, co obyczajność wojskową w czasie wojennym znał, sam dla Lenki schronienie obmyślił.

Stara odeszła, on się do młodego człowieka zwrócił.

— *Cóż? jakże? — pytać począł. — Proch-es wachał?*

— *O, tak—była odpowiedź.*

— *W szarżach bywałeś?*

— *A jakże!*

— *Zpoza ucha rąbać umiesz?*

— *A nu. Czemużbym umieć nie miał!*

— *To dobrze — rzekł i od huzara na kroków parę wtył się cofnął, w celu zmierzenia go okiem od stóp do głów i przypatrzenia się mu dokładnie.*

— *Wszystko-by było dobrze, gdyby nie sznurki. Miał wedle sznurków uwagę jakąś uczynić, gdy nadbiegła Lenka.*

Młodzi ludzie zbliżyli się jedno ku drugiemu; lecz Janosz córkę ręką zatrzymał.

— *Poczekaj—rzekł—przypatrz się mu pierwej. O!—palcem na młodego człowieka wskazał. Tak sam byłem ja. Tylko te sznurki!*

Na Frania patrzeć warto było. Od czasu odejścia zyskał wiele na powierzchowności: w sobie zmęźniał, na twarzy ogorzał i w postawie akcentu wojskowego nabral. Zuchowatość jego dawniejsza w mundurze szamerowanym, przy szabli i pod czakiem czerwonym występowała w spotęgowaniu.

— *Ja-m taki sam był—powtórzył Janosz.*

Powtórzywszy to, pozwolił Lence przywitać się z narzeczonym.

wypisane były niebezpieczeństwa i trudy; rękę stracił i sterał się. Powiedział jeno o racyi, która go do Koszyc sprowadziła:

— Powrócić chcę na posadę swoją w szkółce: nie odmówi mi tego—spodziewam się.

— A, ba—odezwał się Janosz tonem niewątpliwość oznaczającym.

Wypadło jednak inaczej. Lajosz, którego, gdy się do urzędu udawał, stary na wieczerzę był zamówił, przyszedł, przynosząc wiadomość o odmowie formalnej i stanowczej.

— Czemuż to? — było Janosza zapytanie.

— Zanotowany jestem jako patryota słowacki, *Gefährliches Individuum*.

— *A terem tiszem!* — zaklął stary. — Cóż teraz poczniesz ze sobą?

Lajosz ramionami zachnął i odpowiedział:

— Czy ja wiem co! W świat pójdę. Kto wie, może... gdzie...

— Nie pójdiesz! — podchwyciła Lenka! — Niel nigdzie ztąd już nie pójdiesz, nie! Z nami, ze mną zostaniesz nazawsze.

I gdy tak Lajosz, jak Janosz, ze zdziwieniem na nią patrzyli, ona pospiesznie tłómaczyła:

— Zostaniesz ze mną, wezmiesz mnie, będziesz mężem moim, ja będę żoną twoją. Ot co!

— A!.. a... — zareplikował Janosz. — A Franio?

— Franio młody, zdrow, silny, majątny. Franio sobie znajdzie żonę inną. A on? nie! ja jego nie odstąpię. Albo z nim w świat pójdę, albo...

Na takie kwestyi postawienie wszelka ze strony ojca replika niemożliwą się stała. I Lajosz opierać się nie mógł. Dziewczyna się do niego przyczepiła. Uleż musiał—uległ. Wkrótce potem nastąpił ślub, któremu Franio nie opponował, jeżeli nie dla czego innego, to przez szacunek, jaki z czasów dawniejszych zachował dla nauczyciela. Lajosz zamieszkał w domku teścia i—otworzył szkółkę słowacką.

Koniec.

JOANNA CARLYLE.

(Dalszy ciąg)

Kiedy szczęście przepada, dusze silne chwytają się obowiązku i czynią z niego sobie kotwicę życia. Tak postąpiła Joanna. Była żoną, która przysięgła u ołtarza wierność aż do śmierci, a jeżeli popełniła omyłkę, jeżeli wybór jej był nie-szczęśliwy, musiała to teraz opłacić, jak płaci się zawsze kroki fałszywe. Czy nie było w tem coś owej dumy wyniosłej, która woli cierpieć w milczeniu, przyciskając ręką serce skrwawione, niżeli rany jego odsłonić, wydając je na cel oczu ciekawych? Być może, że istniała tu w stopniu pewnym duma taka, będąca zawsze właściwością natur szlachetnych—duma, która się cofa przed skargą i pożałowań nie chce, ale przedewszystkiem ta podniosła dusza kobieca oparła się całą siłą swoją na obowiązku i powiedziała sobie, że jej go musi starczyć na życie. Bardzo wyraźny ślad tego wspaniałego postanowienia, tej wywalczonej na sobie mocy ducha, znajduje się wśród jej wspomnień i korespondencyi, pisanych w wiele lat później po ciężkich przejściach jej małżeńskiego nowicyatu. Wkrótce po ślubie, bo w miesiący kilka, zaczęły ją dotykać różne braki przykre, i przysłała najpierw bieda, a potem nędza prawie. Carlyle nie przedsięwziął żadnej pracy, któraby dopomagała do utrzymania domu, cały zatopiony w namysłach, z których wyszedł najpierw *Sartor resartus*, a potem *Historja rewolucyi francuzkiej*; a tymczasem pieniądze otrzymane od swiery wyczerpały się przed czasem, i biedna młoda małżonka zaczęła być wystawioną na jedną jeszcze próbę okrutną, na walkę z głodem prawie. Śniadania jej zaczęły się składać z czterech łyżek kaszy owsianej, rozgotowanej narzadko, i to było całem jej pożywieniem do południa przez lata długie, gdy z drugiej strony ta piękna, delikatna istota, której głównem za-

jęciem było aż dotąd pióro lub książka, musiała teraz wyczerpywać się w pracy najprostszej, najcieńszej. Żadna sługa nie mogła wytrzymać despotyzmu i dzikiego humoru pana domu, który w *Notach* pisanych już po śmierci żony dla objaśnienia jej *Pamiętnika* i korespondencyi jeszcze łączy najgrubszym językiem pamięci tych „łotrzyce brudnych“ i wyzywa je wyrazami, które krytyk francuzki. Arwed Barine, zręcznie zdefiniował, iż mogłyby jako tako ująć w ustach mamki Julietty, ale nigdy w pismach filozofa. Filozof grzmiał lapidarnym swym stylem, a one „łotrzyce brudne“ uciekały od niego, jak od ognia i moru, „unosily kędyś dalej nieudolność swoją“ i żona musiała wykonywać ich pracę, szczególnie gdy zaczęło brakować pieniędzy. On przecież przyjmował to spokojnie, że gotowała jego obiady, prała jego bieliznę, którą sporządzała wieczorami, myła podłogę jego domu. Niekiedy paląc fajkę, a lubił to czynić w milczeniu po powrocie z przechadzki, patrzył wtedy na nią (gdy myła podłogę) lecz uważał, że rzecz jest najzupełniej w porządku natury, aby kobieta pełniła „funkcyę niższego rzędu“, gdy mężczyzna musi stać u steru wielkich spraw świata, wielkich, wysokich prac myśli, które oblewają znojem jego czoło. Wreszcie robiła to jego matka, robiły to jego siostry: dlaczegoż więc nie miałyby robić jego żona?

Ale bieda rosła z dniem każdym, a on zawsze jeszcze borykał się myślami swemi, które rozpięrały mu mózg, wyjąc z niego niechcąc w postaci jakiegośkolwiek skończonego utworu. W *Notach*, pisanych na obronę swego postępowania z żoną, opisuje on bez końca te swoje walki, jakgdyby z legionem złych duchów: swoje męczarnie tortury, cierpienia rozmaite nerwów, żółci, wątroby, a zawsze z taką amfazą, z taką przesadą egoisty wpatrzonego w siebie, że wyobraźnia rozpała się i rozum chwiać się zdaje. Nie ze względu na ogólne sprawy ludzkości, ale na swoje własne drobne sprawy życia: z powodu swoich sług i swoich kolek woła, że życie to „chaos straszliwy, lichy, mętny, smutny, skłócony, godny pożałowania i brzydki, jak rzeki Styxu i Flegetonu.“ On sam jest w mocy okrutnego szatana, który go opętał i każe mu robić, mówić, czego on nie chce. aż naraz przychodzi mu do głowy, postanowienie nowe—zmiana miejsca pobytu. Joanna posiadała po ojcu w północnej części hrabstwa Dumfries, już w górach, nędzny folwark Craigenputtock, położony w najposępniejszej okolicy, wśród trzęsawisk, blisko przez pół roku pokrytych śniegiem, wystawiony na wichry, przeciągające górskimi wąwozami—miejsce zabójcze dla delikatnej kobiety, miejsce zupełnie odcięte od świata i jakiegokolwiek jego pomocy, bo najbliższa osada, gromadząca pewną liczbę ludzi, małeńka miejscina górską, Dumfries, była oddalona o szesnascie mil (angielskich). Trzeba tu było starczyć sobie w zupełności i żyć prawie, jak człowiek pierwotny, owocami pracy i przemysłu własnego. Ale to właśnie było powabem, do którego zapaliła się fantazyja samoluba. „Doskonała samotność i cisza natury“ to był raj, wśród którego mogły dopiero odbyć się narodziny jego geniuszu, a „potęgi głupstwa“ zostać pokonane i choć wszyscy jego znajomi z trwogą i żalem nad Joanną okrzyknęli się przeciw temu zamiarowi, on nie cofnął się jednak, tak jak ona nie powiedziała mu: nie! Widziano, że chwytały ją dreszcze przerażenia na wspomnienie tej pustyni posępnej, czasem całowicie śniegiem zawianej, przecież nie wystąpiła z żadną opozycją: „Nie objawiła mu nigdy nawet spojrzeniem, aby to miało być dla niej jakąś wielką ofiarą“—pisze Carlyle w *Notach*—„Byłaby udała się ze mną do Nowej Ziemi i byłaby uważała miejsce dobrem, gdyby pobyt tam był postanowionym przezemnie, lub korzystnym dla mnie—dodaje, przyznać trzeba, że ze smutkiem pewnym, z pewnym żalem, poświęconym pamięci zmarłej. Ale snadź ona żywa nigdy nie poddawała rozbirowi zamiarów tego pana swego i męża, który taki regulamin nadał swemu domowi wkrótce po ślubie: „Chcę, aby, gdy zażadam zupy z kamieni, podane mi zupą z kamieni.“ Zażądał teraz od niej wygnania się ze świata ludzi cywilizowanych i ona poszła na to wygnanie, nie rzucając

poza siebie takiego nawet spojrzenia żalu, które on-by dostrzegł—poszła tam bez szemrania, bez skargi i pozostała lat sześć, zamknięta teraz już prawie sam na sam z jego okrutnym geniuszem, z jego żólcia hipokondryka. Żadna żywa dusza nie chciała z Edinburga tam z nią jechać, i mogła też teraz na całą pomoc mieć jedynie jaką bosą dziewczkę pół dziką.

Ta mogłaby była piec na stół tego lubownika doskonałej ciszy natury placki owsiane, to jest owsiane podpłomyki, ale on, dostając je na śniadanie do mleka, byłby wołał na życie jak w Edinburgu wobec rzeczy mniej niebezpiecznych dla jego kolek:—„O bezmierna, posępna, samotna Golgota, z mlynem śmierci na szczycie!“ Ale od czegoż była jego sługa nigdy go odejść niemająca, bo ślubna? Żona siadała, kaszła, na górskiego konika, i otulona zużytym płaszczykiem sukienym jeździła do miasteczka po zapasy żywności, a między innymi po ów chleb, mający zastąpić placek owsiany, lecz który niestety okazał się jeszcze nie dobrym, „ciężko strawnym, drażniącym żołądek.“ Cóż zatem było począć? Joanna pisała w wiele lat potem w pół żartobliwie, w pół gorzko, że „było to jej obowiązkiem żony chrześcijanki, aby piekła chleb w domu“—to jest, aby go piekła sama. Nie umiała tego biedaczka ta, która była niegdyś jedynaczką pieśczoną i kochaną tkliwie, która była niegdyś piękną panną, oddaną poezyi i literaturze. Nie umiała, ale mogła się nauczyć, bo zapewne w Craigenputtock musiała dojść do mądrości tego naszego przysłowia, że nie święci garnki lepią. Zapisala sobie książkę gospodarzką „Cottage Economy“ i wzięła się odważnie do dzieła, ale nie wiedziała nic jak długą jest fermentacya, przez którą przechodzić musi ciasto, nie rozumiała zgola jak piec gorącym być powinien, i ztąd ciężkie pomyłki. Rozczyn wyrósł dostatecznie dopiero w chwili, gdy należało iść spać, a tu trzeba było dopiero chleb robić i piec go, w wystyglm piecu nanowo podpałać i biedna kobieta, zmęczona ciężką pracą, z boląciami od niej członkami, kaszłą coraz więcej, bo już zaczęły się objawiać pierwsze symptomata choroby piersiowej, musiała czuwać do trzeciej rano sama jedna wśród tych uspiionych kilku istot ludzkich, które jedynie załadniały obok niej ogromne przestrzenie pustych jarów i wąwozów.

A mąż jej spał na łóżku, zapewne bardzo wygodnym, bo wszelki dostępny dla nich dobrobyt musiał być dla niego, i gdy w drodze do Craigenputtock znajdowano na noclegach jedno łóżko tylko, on je spokojnie zabierał, a ona mieścić się musiała na twardej sofie nędznej oberży. I teraz też mógł spać snem niezakłóconym, gdy ona wysilała się w pracy, jak niewolnica, nawet pisał z zadowoleniem w swoim dzienniku, że „wyzwolił ją nakoniec z pęt lekkomyślności, ialkowatości (poupeisme) i niedołąztwa, do którego pleć jej jest doprowadzona.“

Jak ona była zdolną wytrzymać te okrutne wyzwoliny, byłoby trudną do zrozumienia rzeczą, gdyby nie wypowiedziała się z tego w liście, piśnianym w lat kilka potem, a który jest najszlachetniejszą lekcją mądrości życia. „Ileż to zdolności się marnuje, ileż to zapałów uleci z dymem, ile istnień ludzkich złamie się dla braku odrobiny cierpliwości i rezygnacyi, dla braku zrozumienia i odczucia tego mianowicie, że to nie wielkość, albo małość zadania, które spełnić mamy stanowi o jego szlachetności lub pospolitości, ale duch w jakim działamy“—„Tisze, i maluje ową noc smutną swego terminowania wsztuce piekarskiej:—„Wybiła godzina pierwsza, potem druga, trzecia: a ja byłam tam zawsze (w kuchni przy piecu) otoczona niezmierną samotnością, z ciałem, które złamało zmęczenie, z sercem uciśniętem przez uczucie opuszczenia i poniżenia (degradation). Ja, która byłam tak pieśczoną w rodzinie, której dobrobyt stanowił zajęcie całego domu, od której nie wymagano nigdy nic, prócz tego, aby uprawiała swój umysł—ja byłam zmuszona przepędzić noc besenną, pilnując chleba, który może po wyjściu z pieca nie okaże się wcale chlebem. Myśli te uczyniły mnie szaloną do tego stopnia, że położyłam głowę na stole i zaczęłam płakać, łkać; gdy naraz przypomniał mi się, sama nie wiem z kąd, Benvenuto Cellini czy

wający noc całą nad piecem, w którym się wypalał jego *Perseusz*, i zapytałam sama siebie, zali wobec potęg, które tam są w górze, wielka jest różnica między bochenkiem chleba a posągiem *Perseusza*, jeżeli będziemy patrzeć na to ze stanowiska spełnionego obowiązku? Silna wola Celliniego, jego energia, cierpliwość, jego pomysliwość wzniosła—oto rzeczy godne rzeczywiście uwielbienia, a posąg *Perseusza* jest tylko przypadkowym ich wyrażeniem. Gdyby Cellini był kobietą, mieszkającą w Craigenputtock, i mającą męża, chorującego na złe trawienie, wszystkie te przymioty jego znalazłyby zastosowanie swoje w upieczeniu bochenka dobrego chleba.

— „Nie umiem wypowiedzieć, ile pociechy myśl ta przynosiła mi w smutkach mego życia, pędzonego wśród tego dzikiego miejsca, gdzie dwie moje beopśrednie poprzedniczki rozpiły się, a jedna oszalała—dodaje, a czytelnik tych jej słów czuje mimowolną potrzebę schylenia czoła przed kobietą tak szlachetną i razem rozumną. A trzeba tu wtrącić nawiasem uwagę odpowiadającą na trwogi pewnych ludzi, że wyższa nauka, wyższe wykształcenie umysłu kobiecego, będzie w niej zabijać tego ducha, który przewodniczy jej pracom w rodzinie—skromnym, pokornym pracom Marty chrześcijańskiej koło dobrobytu jej ukochanych, lub węzłami obowiązku złączonych z nią osób. Nie... właśnie wykształcona, zmysła doskonalsza, podniosła rozwinięta, dopatrzy, to, co jest celem wyższym w tych jej pracach niskich, i nie będzie się czuć przez nie poniżoną. Kobieta, którą zachwycać będzie już dzieckiem poezya Wirgiliusza, która będzie znać historya sztuki, łatwiej w trudnych życia okolicznościach zdobędzie się na męstwo i wytrwałe poświęcenie, niż istota ze stepiałym mózgiem w głowie, czy ona jest elegantką salonową, czy brząkającą kluczykami gospodynią. Cała ta siła rozumowania, całe to podniesienie myśli, które się przez wykształcenie umysłowe zdobywa, przyjdzie tu z pomocą jej siłom moralnym, aby piekła rodzinie swojej zdrowy chleba kawalek.

Dla przeczytania choćby tego jednego listu Joanny Carlyle o *chlebie*, albo raczej o *obowiązku*, który jest chlebem ducha, najsilniej go pożywiającym, warto jest poznać życie tej szlachetnej, pięknej, rozumnej kobiety. Wiemy, że była mimo to bardzo nieszczęśliwą, ale zdołała unieść ponad dolę i niedolę losu serce czyste, obowiązek spełniony, i niepochyloną w lamentach skarg próżnych dumę dusz podniosłych, co razem musiało dawać jej pociechę, podtrzymując w próbach.

Śmierć świekry, przypadła w ósmym roku małżeństwa, pozwoliła na koniec Carlyle'owi sięgnąć po upragniony majątek, a teraz był to już pisarz sławy rozgłoszonej, bo rzeczywiście w samotności bezludnego pustkowie utworzyło się na koniec źródło jego siły twórczej. W Craigenputtock napisał dwa pierwsze oryginalne swe dzieła: *Sartor resartus* i *Historja rewolucyi francuskiej*, a sława jego stała się odrazu europejską. Teraz do tej sławy przybywała zamożność już taka, że chroniła od troski o byt materialny; porzucono Craigenputtock, aby zamieszkać w Londynie, co przecież nie cieszyło Joanny. Miała ona w sercu bardzo wyraźny patriotyzm szkocki: nie lubiła charakteru i obyczajów angielskich, jej żywa krew galijska nie chciała się godzić z ich sztywną etykietą, a nawet sama przyroda Anglii była jej niemiłą. Brakło jej tu malowniczości jej stron rodzinnych, brakło jej ludu szkockiego i jego serdecznej, jakgdyby rodzinnej, poufałości w stosunku do klas wyższych, będącej wiekową pozostałością klanowej organizacji galijskiego społeczeństwa—i westchnienie, żalosci pełne, podniosło jej pierś ściśnioną, gdy rzucała tę samotną chatę góralską, z którą się już zżyła, z którą ją łączyło sześć lat prób, cierpień, męźnie przebytych. Przeszłość cała odcinała się od niej: straciła matkę, bardzo gorąco kochaną i rzucała kraj ojczysty, gdzie ją znano, ceniono, szanowano wysoce; jechała pomiędzy ludzi obcych i obojętnych, nie zyskując nic drugostronnie, bo mąż bez najmniejszego względu na to, że piersi jej zaczęły boleć i kaszel powracał chronicznie, że reumatyzm, zyskane przy dobroczynnej operacji wy-

zwalania jej z *pupeizmu*, dawały się czuć belesnie, osiedlił się na odległym, wtedy jeszcze mało i nędźnie zabudowanym, wilgotnym, na południe położonym, przedmieściu Londynu Chelsea. Było to pewnego rodzaju Craigenputtock londyńskie, bez swobody, jakiej przynajmniej tam używano, gdyż tu na sławnego pisarza rzucał się cały tłum wielbicieli, a głównie wielbicielek, bo namiętny, obrazowy, grzmiący styl Carlyle'a szczególnie zachwycał kobiety, a osobliwie już Amerykanki. W ogóle Amerykanie najwyżej i z największym zapalem uwielbili Carlyle'a. Jego cześć bohaterów, a raczej geniuszów, jego jednocześnie prawa z siłą, co ma w głębi swojej znaczenie wyższe jeszcze, niż „siła przed prawem”—wszystko to przypadło do gatunku umysłowości amerykańskiej i ścigało na Chelsea lawiny entuzjazmu Yankesów. Żonie przypadło teraz w udziale funkcyj zaślania wielkiego człowieka przed tłumem natrętnych gości, między którymi jednak kobiety szczególnie były natarczywe, i pamiętnikowe notatki Joanny zawierają bardzo wiele zabawnych obrazków, wesołych anegdotek w tym kierunku, choć często okazuje się nietylko niecierpliwą, ale podrażnioną na te wielbicielek męża. Z mężczyzną, pisze, przynajmniej coś jej przyszło niekiedy. Jeden, fabrykant korków, przysłał jej tuzin podeszew korkowych, drugi ofiarował jej bardzo piękny szal, (którego nie przyjęła), trzeci—rzeźnik, mało jej nie udusił uściskami, dowiadując się nagle, że to ona, we własnej osobie, jest małżonką geniuszu. Ale kobiety pomijały żonę niemal pogardliwie, chcąc dotrzeć do męża i zabierając po nim pamiętki, jakie mogły pochwytać.—„Byłabym bardzo chciała, aby porwały mi gwałtem firanki od jego łóżka i dokończyły je obszywać—pisze z gniewem prawie—ale nie... łapały zawsze tylko pióra, które mi pisał wielki człowiek, aby je pod szkłem chować.“

Gniewała ją też i widocznie drażniła utalentowana i nawet w kierunku nauczania zasłużona kobieta, Henryka Martineau, która nie „łapiąc“ piór, wołała łapać wyrazy z ust Carlyle'a. Była to podstarzała już panna, dotknięta głuchotą, i ta „rumieniąc się dziewiczo“, podawała Carlyle'owi swoje trąbkę akustyczną. Wogóle Joanna nie lubiła Angielek i widząc ich zapaly, pyta się w pamiętniku swoim: czyby też, będąc zamiast niej w Craigenputtock, umiała malować dom i pokostować podłogę, cerować skarpetki i sporządzać surduty jej męża?

Ale drabina nieszczęścia jest długa; nikt nie wie, który to stopień ostatnim już będzie: Joanna doświadczyła tego na sobie. Ten jej dziki, posępny mąż, ten mruk żółciowy, który obok niej, pięknej i młodej, nie zapalał nigdy ogniem miłości, teraz dołączył nagle do wszystkiego, co przecierpiała przy nim, najcięższe dla kobiety uczucie pokrzywdzenia w swych prawach żony. Tettryk, na którego złe trawienie sprowadzało widzenia bestyi z Apokalipsy, pokochał się nagle w wielkiej damie z arystokratycznego świata, lady Henryce Barring.

(Dalszy ciąg nastąpi).

Korrespondencya zagraniczna.

Wiedeń w Październiku 1884 r.

Żywi i umarli.—Laube, Makart.—Jubileusz Straussa i muzykalność Wiednia.—Nowe książki „Histopadesza“ i bajki islandzkie. Powiastki japońskie.—Bohater tyrolski w pieśni.—Nowa koleja.—Przyszłość Bregencyi.—Małe obrazki stolicy.—Nowy wynalazek: klawiatura i fortepian pomysłu Janka.

Zanim się żywi zjadą i rozpoczną „sezon“, pomówimy o umarłych, bo tych nigdy nie brak, a było ich teraz dwóch wybitnych, Laube i Makart, i obaj stanowili typowe postacie wiedeńskie.

Laube wyszedł z romantycznej szkoły „młodych Niemiec“, wędrował po różnych miastach niemieckich, jako dramaturg, powieściopisarz i dyrektor teatrów; w twórczości swojej łączył tradycje Shakespeare'a, Göthego i Schillera z żywą scenicznością ówczesnego teatru francuskiego. Wiele lat był dyrektorem pierwszej niemieckiej sceny w Wiedniu, stawał potem na czele teatrów we Frankfurcie i w Wiedniu (teatr miejski) i osobistą działalnością i pismami dramaturgicznymi położył wielkie i trwałe zasługi około podniesienia i uszlachetnienia sceny. Osobistość jego była przytem wielce oryginalna; szorstki, gburowaty, dyktatorski, wielu jednak posiadał przyjaciół dla swoich zalet umysłu i energii i wielu zostawił wdzięcznych uczniów.

Makart, zarówno osobą swoją, życiem, jak i obrazami, przedstawiał właściwości życia stolicy, mianowicie sfer zamożniejszych. Dzieła jego to bujność i przepych barw, zwierciadło rozkoszy, poezya zmysłów. Jest to fantazya płynąca po wierzchu życia bez podstawy etycznej, a nawet bez poprawności rysunkowej. Wirtuozowstwo barw pokrywa w nich płytkość pomysłów i wady rysunku. Nie sądzę, żeby Makart, ulubieniec Wiednia, twórca wielu mód, zajął ważniejsze stanowisko w historii sztuki¹⁾. Przyczynił się on do rozwoju techniki barw: to będzie jego zasługą. Dzieła jego to malowane walce i operetki Straussa.

Ten drugi przedstawiciel życia i usposobienia całego ludu wiedeńskiego obchodził 40-letni jubileusz swojego panowania. Dynastia Straussów panuje istotnie od lat 80 nad wszystkimi zabawami balowymi i miejscami zebrań publicznych; w takcie walca pulsuje życie wiedeńskie, a takt ten podbił też wszystkie ludy cywilizowane, a nawet dzikie; u Murzynów, i Hottentotów jest już walc ulubioną melodyą i tańcem. Walc dzisiejszy powstał z „laendlera“ styryjskiego; Strauss I, ojciec, nadał mu artystyczne zaokrąglenie i pojętne zacięcie. Synowie prowadzą dalej dzieło, lubo ojciec, którego chciano zrobić rękodzielnikiem, z największą surowością pilnował, żeby się muzyką nie zarazili. Berło objął syn Johann Strauss II, kilkaset już skomponował walców, a następnie kilkanaście operetek, które są apoteozą walca. W operetkach stworzył on sobie ten świat, to *milieu*, którego walc potrzebuje i które naodwrot walcem i w walcu żyje—a które to *milieu* w rzeczywistości pomału znikać zaczyna. Dzieje się bowiem w Wiedniu to, co w każdej wielkiej stolicy, że się pierwotne, ludowe rysy wolna zacierają, zwyczaj, obyczaje, upodobania zmieniają, znikają ogniska dawnego życia, a powstają pałace i nowożytnie kawiarnie i hotele z elektrycznym zbytkiem, co wszystko nada je w końcu każdej stolicy znamiona kosmopolityczne. W Wiedniu te metamorfozy są tem widoczniejsze, że jest tu wieża babilońska narodowości, że jest tu ruchoma, zmienna stacya międzynarodowego ruchu, prądy Zachodu i Wschodu tu się mieszają. Lecz walc nie przestał być jeszcze kwintessencją życia wiedeńskiego, a dowodem tego był jubileusz Johanna II. Średni brat, Józef, także kompozytor walców i dyrygent orkiestry, umarł po przykrościach doznanych w Warszawie; trzeci, Edward, jest dyrektorem muzyki balów dworskich, skomponował także około 200 walców, a Wiedeń dopiero wtedy prawdziwie używa, jeżeli, nietylko słucha walców, ale zarazem patrzy, jak Edi, dyrygując muzyką, kiwa się, kręci, tańczy z laseczką w rękę. Należy jednak przyznać, że poza walcem jest Wiedeń miastem wielce muzykalnym; do opery, na koncerta symfoniczne bardzo trudno jest zdobyć miejsce. Każdy wirtuoz i artysta dopiero przez uznanie zdobyte w Wiedniu otrzymuje świadectwo ważne na cały świat.

Nowe książki, jakby i one stosować się chciały w lecie do pory podróży i wycieczek, prznosiły czytelników w dalekie światy; z pomiędzy tych nowości kilka prawdziwie zajmujących wpadło mi w rękę. Zaczniemy od Indyi.

1) Porównać V list Kraszewskiego z Magdeburga, N. 44 *Bluszczy*.

„Hitopadesza, bajki i przypowieści przełożył z sanskrytu Schoenberg.“ Ta księga i druga *Panczatantra*, są to skarbnice zawierające bujne, staro-indyjskie bajki; są to źródła, z których fantazja, poezja nigdy czerpać nie przestanie. Język przekładu wyśmienity, więc i dla treści i dla języka, komu na nim zależy, można tę książkę z przyjemnością czytać.

Znany badacz Poestion, wydał czerpane uźródła *Islandzkie bajki*. Jest to książka nadzwyczaj zajmująca, jest to żywa tradycja jednego ludu, a zarazem jakby jego nekrolog. Lud ten bowiem skazany jest na zagładę. Niegdyś była tam kultura, lecz podobno wskutek stygnięcia ziemi zamarlała, zamarzła. Na przestrzeni 1870 mil kwadratów żyje zaledwo 70,000 ludzi — i jakież to życie! Pierwotne rybołówstwo, hodowla bydła, uprawa pastwisk. Niema drzewa, gliny, wapna; chaty powstają z glazów wypełnianych i wykładanych darnią. Żeby nie było potrzeba ich opalać, mają one jeden tylko otwór: drzwi, a ciepło w izbach maleńkich jest tylko organicznem ciepłem mieszkańców tulących się do siebie. Więc też ci mieszkańcy są ponurzy, smętni, nieprzystępni. Odosobnieni, bez związków z innymi ludami, zamknęli się w sobie, w starych zwyczajach i wierzeniach. Nawet język ich jest prawie starożytnym, chociaż rodzimą literaturę mają ci biedni ludzie wcale bogatą. Zbiorek podaje nam 36 bajek, opowiadań. Islandczycy mają dużo czasu; dwie trzecie roku są skazani na nieczynność; wśród surowej zimy siedzą dzień i noc, które się prawie nie różnią od siebie, w małej izbie, około stołu, na którym pali się lampka tranowa i zaledwo ciemne kąty nieco rozwidnia. Siedzi tam cała rodzina i słucha opowieści starszych. Rok za rokiem tak jednostajnie upływa czas długi, wolny od zajęć koniecznych dla utrzymania życia, które jest ciężką walką z przyrodą. Islandczyk potrafi jeszcze czasem pamięcią o jakiejś poprzedniej, szczęśliwszej krajce, zanim do dzisiejszej ojczyzny został przykuty. Lecz ona jest mu drogą, on ją kocha, on sławi ją: „jest to najlepszy kraj ze wszystkich, którym słońce przyświeca.“ Przywiązanie to jest rzewnem, wzruszającym, nawet tragicznem, bo z nędzy z każdym rokiem większa tam jest emigracja do Ameryki i obliczają już w jakim czasie Islandya zupełnie zostanie wyludniona, skończy się historia tego ludu. Zbiorek Poestiona przedstawia nam całe życie, usposobienie, zwyczaje, uczucia i myśli tego ludu, lepiej, niżby to najpracowitszy opis mógł uczynić. Bajki te są rzeczywiście *arką przysmierza* tego ludu, mają wiele właściwości odrębnych, lecz są i strony pokrewne podaniom innych ludów, wskazujące, że ta gromadka — to także dalecy bracia.

Nasze bajki zaczynają się zwykle: „był raz“, albo: „onego czasu“; rumuńskie mają zawsze następujący początek: „Było to raz, jak już nigdy więcej; gdyby nie było, nie byłoby opowieści. Odkąd okuto pchłę na jedną nogę dziewięćdziesięciu dziewięciu funtami żelaza, aż skoczyła do niebios, żeby nam ztamtąd przynieść bajki, odkąd mucha pisała na ścianie, ten, kto by temu nie wierzył, jest kłamcą.“ Każda islandzka bajka zaczyna się tak: „Nie zdarzyło się nic szczególnego, czegoby słuchać, o czemby opowiadać można, nie chcąc kłamać lub kraść; a ja nie chciałbym, żeby się to mojej powieści przytrafiło. Lecz gdyby na to przyszło, i tegobym się nie wyrzekł tylko, że nie umiem kłamać, bo kłamstwo przyszło dopiero siedm lat po czasie, kiedy się to zdarzyło — daleko za domem, na południe od domu, a tak jest i w naszych czasach i rzadko kłami opowiadacz.“ Również i koniec bajki bywa obszernym: „I żyli długo i szczęśliwie razem, mieli dzieci i wnuki, pływała ryba w tłuszczu na stole. Niechże tak będzie każdemu, kto może słuchać, ale kto nie zapłaci za bajkę, niech mu się w głowie zapali; daleko we wrzosowisku kot ogonem myrda i koniec bajki.“

Dziesięć motywów jest w tym zbiorze. Pasterz szuka zaginionej krowy lub owcy: nie znalazł — i jego samego olbrzymy gór porwali. Cała niepokonana siła natury jest wcielona w złego czarownika Froella. Bajki o olbrzymkach przypo-

minają kopcieszka i zaczarowane księżniczki; jest i macocha potworna z dalekiej wyspy na morzu, która udaje dobroć, a jest złą, dziką i ludzkim mięsem się karmi, pasierbicę zaczarowała, aż ją daleki król wyzwoli. Czary i przemiany postaci grają wielką rolę. Dobrych lekkich, białych duchów nie znają; po skałach gnieźdzą się karzelki, które ludziom pomagają. Przeważają obrazy i pojęcia ponure, smutne, nawet humor jest żalony. Zupełnie innego rodzaju są *Bajki japońskie*, a raczej *gawędy przy herbacie*. Japonia jest jednym z tych odległych krajów, który coraz więcej zaczyna Europę interesować, gdyż cywilizuje się naprawdę, uczy, urządza, ma znaczne i dobre wojsko, będzie kiedyś wielką odgrywać rolę; jednak nie znamy go wcale. Pełno w Europie japońszczyzny, drobiazgów, figurek, wachlarzy itp., lecz tego kanału przez który duch jednego ludu przepływa w ducha ludów innych, tego nam jeszcze uczeni tłumacze utworów literackich nie otwarli. Książka powyższa odświeża nam też nowy świat; figurki się ożywiają; towarzystwo z wachlarzy, parasolów i obrazków zaczyna gawędzić, śmiać się; widzimy życie, zwłaszcza domowe, a jest ono sympatyczne i uczciwe. Japończycy lubią poezję i zachwyają jej poswojemu spokojnie. W ogrodach zbierają się rodziny i towarzystwa, bawią się, opowiadając i słuchając powieści i pijąc herbatę; lud pospolity zbiera się na ulicach w tym celu. Opowiadają o bohaterach i świętych, o strachach i duchach, o żabach i żółwiach, o ślimakach i o bajecznych zwierzętach, najwięcej zaś o rzeczywistych stosunkach, o ludziach — i znowu najwięcej o serdecznym szacunku dzieci dla rodziców. Japończyk zasadza cały porządek życia na rodzinie, a przytem religia Buddy jest źródłem legend, których ascetyczny charakter usposobieniu ludu nie odpowiada. Dzisiaj też objawia się w kraju prąd dążący do porzucenia Buddy, a przyjęcia religii chrześcijańskiej. Kapłanowi Buddy, prawiącemu kazanie, powiedział ten ktoś — i stało się to przypowieścią: „Przyjaciela, idź do domu, masz tam dwóch Buddów, ojca i matkę.“ W powieściach japońskich pełno jest humoru jowialnego, niegryzącego, pełno żartów i figlów prostych, uciesznych. Czytamy o karłach i o mędrach, o demonach i cudach. Buddystyczny niewątpliwie charakter ma na sobie powieść: „Nie zabijaj“ — w której dwie córki, żeby ojca od polowania odzwyczają, w nocy w białym udają bocianów — i ojciec ich zabija. Lecz, jak wspomniałem, najliczniejsze są o posłusznych dzieciach, zgodnem małżeństwie, czułych braciach, którym bogowie zawsze pomagają, i wino ze źródeł w skałę dla nich wytryskuje, żeby starego ojca czem pokrzepić mieli; są idylle naksztalt Filemona i Baucis; wszystkie powieści ze stanowiska ogólnoludzkiego są szlachetne i czyste. A jakże są wesole owe wesela świątecznych robaczek w kielichach lotosu, losy małek, gwiazd, ślimaków! Można zazdrościć Japończykom, że wieczornice przy herbacie *takie mi* zapełniają sobie plotkami.

W Inspruku, w ojczyźnie narodowego bohatera Andrzeja Hofera, wyszedł zbiór pieśni o nim (Hofer im Liede). Są tu pieśni i ballady nawet pod literackim względem bardzo cenne, a wszystkie mają wysoką wartość, jako owoc patriotyzmu, czci i wdzięczności ludu.

Hofer przypomina mi, że Wiedeń i cała Austria zajmowały się w lecie nader żywo Tyrolem, osobne szły pociągi na otwarcie nowej kolei żelaznej, która połączyła po raz pierwszy bratni kraj Tyrolu Vorarlberg z resztą państwa, przez przebiecie tunelu pod Arlberg, a zarazem całej Austrii z morzem szwabskiem, jeziorem bodeńskiem, za jego zaś pośrednictwem z zachodem Europy. Tunel sam, olbrzymie dzieło, jest długi dwie godziny szybkiej pieszej drogi, a kolej prowadzi teraz do krajów, które niebawem staną się celem wycieczek z całej Europy. Śliczneż to kraje! — trzon Alp je obramienia, górskie rzeki i wodospady ożywiają; słoneczne, szmaragdowe polany uśmiechają się błyszcząc rosą; lud swobodny, przywiązany do kraju głęboko, strzegący tradycji, uwielbiający swoich bohaterów. A nad jeziorem zaczyna się teraz świat nowy; po raz pierwszy wy-

budowano tam w Bregencyi porty; towary z wagonów i całe wagony prosto z szyn wjeżdżają na statki; za niewiele lat małe to miasteczko stanie się czemś naksztalt Genewy i Genui.

Z książek zasługuje jeszcze na wzmiankę Chiavacciego „Aus dem Kleinleben der Grosstadt“, drobne obrazki z życia wielkiego miasta Wiednia. Autor daje nam 23 szkice rodzajowe; w nich skrytykował wiele rysów i typów ludowych, które już znikają niepowrotnie. Zajmująca ta książka pokazuje, jak należy patrzeć, jak podpatrywać i odzwierciedlać z miłością to, co swoje.

Konczę ten list doniesieniem z dziedziny muzyki. Pianista Janko wynalazł, a p. Kotykiewicz wykonał fortepian nowej konstrukcji. Mianowicie nowy rozkład klawiatury ma na celu ułatwienie gry, ten zaś rozkład klawiszy zastosowany jest do ustroju ręki ludzkiej. Model o pięciu oktawach jest o połowę węższy od dzisiejszych instrumentów. Klawisze są ułożone w sześciu terrasach po nad sobą, lecz palce nie potrzebują spinać się po tych piętrach: biegają po dwóch pionowych liniach, tylko każdy klawisz ma na nich swoje dotyki, każdy ton może być brany z jednego miejsca w trzech rozmaitych oktawach. Wynalazca bierze z łatwością sextę drugiej oktawy i tonikę pierwszej równocześnie; wielkie ręce biorą dwie oktawy. Układ palców pozostaje zawsze jeden i tensam, a kombinacja wysokości tonów następuje efekta, które dotąd były niemożliwymi.

PRZEGLĄD TEATRALNY.

Teatr Wielki: **Sen nocy letniej**, fantazja czarodziejska w 5 odsłonach Shakespear'a, przekład Stanisława Koźmiana, muzyka F. Mendelssohna-Bartholdy.

Teatr Rozmaitości: **Sprzymierzeńcy**, (Nos aliés), komedia w 3 aktach, przez Moreau, z francuzkiego tłómaczona; rola gościnna P. Antoniny Hoffman.

Szlachetną jest ta ambicja, która nakazuje scenom europejskim ubiegać się o zasługę wystawiania Shakespear'a. W Anglii autor *Leara* dotychczas jeszcze żyje wśród tłumów, głównie dzięki temu, że na teatrze narodowym żyć nie przestał. Francuzi pomimo bardzo gruntownych wywodów najświeższej swej estetyki, stają ciągle milcząco po stronie Voltaira'a, który Shakespear'a za barbarzyńcę uważał; brudy Zoli mniej ich raża od wspaniałych, ale w życiu potocznem niezwykłych wybuchów psychologicznych wielkiego poety. Niemcy, chcąc dogodnie uprawiać Shakespear'a, założyli sobie umysłne towarzystwo, a na pierwszych teatrach niemieckich spotkać się można zawsze z dziełami szekspirowskimi w całej nawet szeregi przedstawień układanemi. Wyższe talenta, szczególniejszej miękkości, umiały różnemi czasami zapewniać najpromienniejszej sławie angielskiej powodzenie w całej Europie, dobra ich gra dawała dopiero możność rozejrzenia się i rozpoznania w tym ogromie, któremu na imię „Shakespear“.

Dobrej też gry, wyższych talentów, koniecznie potrzeba, aby istotnie Teatr Szekspirowski mógł nie doznać krywy od dzisiejszych widzów. Przed dwudziestu paru laty Gervinus odradzał Niemcom przedstawianie dzieł poety angielskiego, z powodu braku odpowiednich talentów scenicznych, a szło mu, nietylko o role główne, ale o wszystkie, o całość sił działających w sztuce, z wyjątkiem zupełnie już podrzędnych, których zresztą w Dramatach Szekspirowskich jest niewiele. Znakońmy krytyk, znawca i wielbiciel Shakespear'a, proponował wytwarzanie umysłnych towarzystw z sił pierwszorzędnych i poruczanie im dopiero obowiązku tłómaczenia dramaturgii XVI w. na mowę w. XIX. Jedną z ostatnich sztuk, jaką radził scenom niemieckim podjąć w taki sposób na swe barki, była właśnie ta, z którą nasz teatr obecnie wystąpił: *Sen nocy letniej*. Trudność dobrego jej przedstawienia tkwi, nietylko w tem, że jest

spełnić musi aktor, ale i w tem, co zrobić powinien maszynista, aby urządzić potrzebną dla aktora scenę. Powiewność, napowietrzność, czarodziejstwo tej krainy, w której królują Oberon i Tytania, nie da się nigdy najdoskonalszą nawet maszyneryą odtworzyć i wyobraźnia zawsze umyślnie dopełniać będzie owoc trudów mechanicznych—całej tej materialnej techniki teatru, która wymaga dla siebie więcej jeszcze pieniędzy w kieszeni dyrektora, niż zmyślności w głowie mechanika. Ale na najdoskonalej nawet urządzonej scenie ludzie ze swą prawdą życia, duchy w swych materialnych osłonach, pojęcia grające na scenie, (jak np. pojęcie uwidomione w osłej głowie Spodka) niekorzystnie, niesmacznie wyglądać będą. Przy wielkich nakładach, przy wschodnim przepychu wystawy, przy staranności gry aktorskiej, przy powabie muzyki, podtrzymującej ton czarodziejstwa, przy najsubtelniej wykonanych, i jak najobficiej wprowadzonych chórach i tańcach, — sztuka sprawić może tylko wrażenie *sui generis* wizji napowietrznej, prologu do jakiejś uroczystości, chociaż prologu trochę za długiego—nie sprawi nigdy wrażenia istotnego dramatu, to jest ścierających się sił duchowych człowięczeństwa rozdzielonego między różnoimienne osobniki ludzkie. Druga sztuka czarodziejska Shakespeare'a, *Burza*, ma budowę poważną, charakter i zadania psychologiczne poważne; ta jest jakby tylko igraszką, konceptem—figlem geniuszu. W czytaniu *Midsummer night's dream* może i musi się zawsze podobać; na scenie podoba się tylko w szczególnej przyjaznych warunkach, i to jeszcze nigdy jako dramat, lecz jako udratyzowana baśń czarodziejska. Zdanie Goethego, że „Shakespeare jest więcej poetą wogóle, niż poetą dramatycznym w szczególności“, wobec tej sztuki wydaje się zupełnie usprawiedliwionem. Żadnej czci nigdy do zaprzeczania prawdy posuwać nie wolno; Shakespeare i tak jeszcze pozostałby wielkim, gdybyśmy mu *Sen nocy letniej* całkiem odjęli.

Sama budowa i treść sztuki pokazują, że była ona niegdyś rodzajem kantaty weselnej, a czy ją wystawiono na dworze Southerlanda czy Essexu, czy jakiego innego z ówczesnych dostojników angielskich? czy ją Shakespeare napisał w 1592 czy w 1597 roku? czy chciał się przypocholeć Elżbiecie, i w jakim celu, kiedy mówił o królowej Zachodu?—wszystkie te kwestye, zdaje mi się, niewłaściwie wytoczono przed publiczność polską, dla której one żadnej nie mają wagi; mogłyby ją mieć zresztą w książkach lub artykułach umyślnych, ale nie powinny być nigdy znaleźć dla siebie miejsca w recenzjach teatralnych. Trzeba szanować czytelnika, dla którego się pisze, i nie dawać mu kart tłómaczonych z licznych bardzo niemieckich podręczników, w miejsce zdań samodzielnych, wartość samej sztuki wyluszczać. Gdyby chodziło o dawne sprawy rodzinne, domowe, nasze własne, mielibyśmy taksamo prawo odchyłać zasłonę tajemnic historycznych, jak to czynią Anglicy dla siebie; ale my pamiętajmy, że chociaż mówimy o Shakespeare, chociaż się nim zachwycamy, nie staliśmy się jeszcze przez to Anglikami i nie dźwigamy na sobie ciężaru obowiązków angielskich. Bujne polemiki chronologiczne wydały mi się w recenzjach zupełnie niewłaściwymi: oznaczenie granic 1591—1598 r., wskazanie domniemanego wpływu Spensera i jego *Królowej Wieszczek* zupełnie wystarczało dla wytworzenia niezbędnego tła genetycznego. Całe to zatapianie się przygodne naszej krytyki w hermeneutyce historycznej Shakespeare'a przypominało mimowoli przepysny dowcip Fredry w *Cudzoziemczyźnie*:

„czy polem, czy lasem
Miło angielską miłą przejechać się czasem.”

Teatr nasz robił co mógł, i zrobił dość dużo. Nie spodziewaliśmy się, aby przy naszych środkach, przy naszych zasobach uczucia i woli działania, *Sen nocy letniej* tak mało mógł utracić ze swej idealnej, w czystym czytaniu występującej, istoty, ile na naszej scenie utracił. Oczywiście, ta kraina cudowna, którą koniecznie mechanik wytworzyć musi, i on jeden tylko wytworzyć może, wiele potrzebowała, aby się

zbliżyć do ideału swego; ale tylko niechęć wyraźna mogłaby nieprzyznać, że przy danych środkach starano się zrobić jaknajwięcej i jaknajlepiej: a że te dane środki są szczupłe, więc i wystawa wspaniała być nie mogła.

Słusznie zastąpiono urzędowe określenie sztuki „komedia“ logicznem „fantazyą czarodziejską“. Ze względu na rodzaj swój *Sen nocy letniej* należy do szeregu poezji, której początek dał Aryost, a którą uprawiał jeszcze w XVIII w. Metastasio. Mniej stosownem było wprowadzenie jedności miejsca dla scen odgrywających się w krainie Elfów; niefortunne wysypianie się Ateńczyków wobec widzów nie raziloby tak, gdyby się zastosowano do oryginału: reżysserya nasza wszakże poszła tu za jednym ze scenaryuszów niemieckich i powagą jego zasłonić się może. Żle się złożyło, że na Hermię nie znalaziono lepszej jakiej artystki od panny Jerzyny: rolę tę trzeba już grać, a w jedynej rzeczywiście dramatycznej scenie sztuki, kiedy obie pary zakochanych wikłają się w zatarg i kobiety zaczynają sobie złorzeczyć, brak wyższej siły scenicznej w roli córki egeuszowej dotkliwie czuć się dawał. PP. Lude i Prażmowski, jako Tytania i Oberon, byli prześliczni. P. Wisnowska, podjąwszy się roli Puka, dobrego ducha, Merkurego Oberona, oddała ją bardzo wdzięcznie — a co się nabiegać musiała, a jak była w tym biegu lekką! P. Ładnowskiej jako Helenie, nie brakło pojęcia roli, bardzo zresztą łatwej, ale brakło zapału; w tej roli panna Marcello byłaby lepszą.

Dano sztuce Shakespeare'a aż trzy nowe dekoracye, wcale przyzwoite, pędzla pp. Guranowskiego i Malinowskiego. P. Gerson nie odmówił udziału swej wiedzy artystycznej, tak cennej, i dostarczył wzorów kostyumowych. Orkiestra pod dyrekcją p. Rzebiczka sprawiała się dobrze. O tańce zadbał p. Meunier.

Do przedstawienia użyto przekładu Stanisława Koźmiana; nie wszędzie on gładki, ale sprawdzenie, choć pobieżnie przez nas dokonane, nie wykazało niezgodności: owszem, powiedzić można, iż w tej pracy swojej autor wiersza „Do mistrzów słowa“ wziął sobie za główny cel sumienne oddanie oryginału. Gdyby sumiennosc tę zastosowano i do tytułu, mielibyśmy zamiast: *Sen nocy letniej*—„Sen nocy świętojańskiej“.

Komedia p. Moreau jest bardzo elegancką i niepozabawioną pewnego zajęcia zabawą sceniczną. Przyjeżdża z Algeryi officer, który do Arabów strzelał, jak do kuropatw, kochanki swoje nazywał pieszczotliwymi imionami zwierząt, a lwów nie rozdzierał tylko dlatego, że nie chciał. Ten Gaston de Rech nie jest jednak wyciętym z papieru, a opieprzonym *ad hoc* blagierem-gburzem,—jakich dziś jeszcze nawet przedstawiają Francuzi, nie czyniąc tem zaszczytu swej armii afrykańskiej,—ale człowiekiem, z którego ani życie obozowe, ani południowe słońce nie zdołało wyciągnąć dobrych obyczajów, towarzyskiej oglady, prawości, a nadewszystko rzetelnej uczuciowości, do jakiej go wiek jeszcze upoważnia. Henryka Dolcy, dawna jego znajoma, a podobno i kuzynka,—jeżeliśmy dobrze tę genealogią wprowadzoną przez p. Moreau zbadali—chcego ożenić z p. Klarą, siostrzenicą Montgérarda i Alfonsyny, maluczkiego stadła mieszczkańskiego. O serce jej dobija się już Ernest de Mauri, znajomy znowu dawny Gastona. Ta sprzeczność dążeń przeciwieństw nie maści w niczem dobrych stosunków. Autor każe się zebrać całemu towarzystwu w Trouville u kąpieli morskich, aby tem łatwiej mógł płątać i rozplątywać dość zresztą niewinną intrygę, w której przeprowadzeniu nikt nie ma prawdziwego interesu z wyjątkiem śmiesznej ciotki Alfonsyny. Henryka Dolcy uczy Gastona, jak ma miłość swoją objawiać Klarze, ale młodzieniec nieuk pada przed nią samą na kolana; ona zaś poznawszy jego nieuctwo, zostaje z nauczycielki uczestniczką miłości i idzie do ołtarza. Ernest oczywiście ożeni się z Klarą. Wszystko to trwa niedługo; w akcie II zwłaszcza prowadzone jest z wielką zręcznością, z wdziękiem, z wprawnym francuzkiem dyalogowaniem i daje artystce w roli Henryki Dolcy niezaprzeczone pole do popisu. Stylem dramatycznym przypomina ta sztuka ko-

medye Scribego: mniej tu idzie o silne życie dla postaci scenicznych, niż o przyjemność dla widza. Całości słucha się dobrze. P. Hoffmanowa, która podczas gościnnych swoich występów wprowadziła *Sprzymierzeńców* na scenę naszą, zrobiła dla siebie samej wybór bardzo odpowiedni, a sterowi teatralnemu wskazała nową sztukę, której publiczność z przyjemnością słuchać będzie.

Stanisław Krzemiński.

Korrespondencya zagraniczna.

Lwów w Październiku 1884 r.

Pożegnania pani Boberskiej. — Wystawa Sztuk Pięknych. — Dzieje rodziny Fredrów w akwarellach Juliusza Kossaka. — Wystawa pszczolniczo-ogrodnicza w Tarnopolu. — *Wzory przemysłu domowego* przez Ludwika Wierzbickiego, zeszyt VII i VIII. — Nowości literackie: *Konferencye duchowne* ks. arcybiskupa Fe-lińskiego. — *Echa z południowej Afryki* przez profesora Romana. — Wydawnictwa *Macierzy*. — Wykłady: ks. Kalinki „O generale Chłapowskim“ i Wojciecha hr. Dzieduszyckiego: „O powieści Sienkiewicza *Ogniem i mieczem*.“

(Dalszy ciąg).

Następna scena wyobraża klęskę w Lasach Bukowińskich, poniesioną za Jana Olbrachta. Jan Fredro, Wojewoda Miński, przebija Szoszumiłę, dowódcę Wołoszy, wśród zgiełku bitwy, najeżdżającego na kolosę królewską, i ratuje tym sposobem króla od pewnej śmierci. Na trzecim obrazie widzimy jasyr tatarski, odbity przez Andrzeja Fredrę, Wojewodę Podolskiego. Gromady oswobodzonych jeńców zwracają się dziękczynnie ku wjeżdżającemu pomiędzy nie konno wojewodzie. Ze łzami wdzięczności, z oznakami najwyższej radości, wyciągają ręce ku swemu wybawcy, padają przed nim na kolana, cisną się, aby ucałować stopy rycerza. We wszystkich postaciach oddany wiernie typ ludności tutejszych okolic. W dali widać uciekających Tatarów i pogoń za nimi wysłaną. Przepysny jest wjazd poselski do Stambułu Wawrzyńca Fredry w 1500 roku. Przed nami miasto w całym bogactwie wschodniej swej architektury, z licznymi wieżycami minaretów. Wspaniały konny orszak baszów, beglerbejów i innych dostojników Wysokiej Porty, wprowadza wjeżdżającego posła do sultańskiego pałacu. Tłumy ludności, wszelkiego wieku, cisną się wkoło, przypatrując się ciekawie orszakowi, a wpośród tłumu biegną za nim, jak się wyraża kronika: *drobnych bisurmańcząt* zgraje. Charakter Wschodu technię z całej tej kompozycyi, pełnej ożywienia i rozmaitości w ugrupowaniu. W innym znów rodzaju równie przepysny jest obraz następny: „Wycieczka na obóz tatarski z Lubaczowa i rozgromienie tegoż przez Franciszka Fredrę“. Noc osłania widnokrąg; płoną ogniska tatarskie. Na czele hufca wpada Fredro na Tatarów, uciekających w popłochu; koń, poczuwszy zapal jeźdźca, rwie się naprzód w szalonym pędzie;—zgiełk bitwy, popłoch, zamieszanie przy ponurem oświetleniu nocnem, tworzą scenę pełną grozy i szczególniejszego uroku. Ostatnie obrazy wzięte są z czasów późniejszych, mianowicie z Wojen Napoleońskich; a historyczną tę galerią rodziny Fredrów uzupełniają trzy portrety znakomitych mężów tego rodu, którzy odznaczili się na polu nauki, piśmiennictwa i w kościele — mianowicie: Andrzeja Maxymiliana Fredry, Alexandra, Biskupa Przemyskiego, i drugiego Alexandra, z naszych już czasów, niezrównanego naszego komedyopisarza; który młodość także spędził na polu bitew świetnej Epoki Napoleońskiej. Dwanaście tych obrazów stanowi, bez przesady mówiąc, skarb prawdziwy w muzeum polskiej sztuki i pośpieszam zwrócić na nie uwagę publiczności warszawskiej, albowiem po wystawie peszteńskiej, dokąd je obecnie wysłano, zostaną przeniesione na jakiś

czas do Warszawy; użycie więc wkrótce prawdziwej biesiady artystycznej, oglądając je sami, podobnie jak my rozkoszowaliśmy się ich widokiem.

Temi dniami publiczność lwowska odbywała pielgrzymkę do Tarnopola, dla zwiedzenia urządzonych tamże wystaw pszczolniczo-ogrodniczej. Kto miał tylko trochę wolnego czasu i był w możliwości poświęcić kilkanaście guldenów na wydatki podróże, ten jechał, wiedziony ciekawością przekonania się na miejscu o pracowitości podolskich pszczółek i bujności ogrodów podolskich, tej ziemi niegdyś mlekiem i miodem płynącej. Jeździło dla obejrzenia wystawy wielu posłów, obradującego właśnie podówczas, sejmu, jeździł namiestnik i marszałek krajowy, tudzież prezes Towarzystwa Gospodarskiego z wielu członkami komitetu tegoż towarzystwa, wielu profesorów, wreszcie wiele pań, dla których z natury rzeczy wystawa warzywa i owoców szczególniejszy miała powab.

Wystawa była godną zwiedzenia i przeszła oczekiwanie, tak pod względem zewnętrznego przyozdobienia i układu, jako też bogactwa przedmiotów, przedstawiających dokładny obraz postępu uprawy ogrodowej i stanu pasiek we wschodniej części kraju, do czego dołączono jeszcze dodatkowo wystawę wyrobów włościańskich, czyli takzwanego przemysłu domowego, i wystawę narzędzi rolniczych. W pięknym i rozległym parku miejskim, jakim mało które z miast prowincjonalnych poszczycić się może, stała obszerna pawilon, w stylu właściwym tego rodzaju budynkom, przypominającym cośkolwiek szwajcarskie szalety i sielskie wille ogrodowe, przeznaczony na pomieszczenie głównych przedmiotów wystawy. Obok stały pomniejsze domki i szalasy; wszystko razem, otoczone zielenią bujnego parku, czyniło miłe wrażenie. Przez kilka dni trwania wystawy park cały wraz z drogą prowadzącą do miasta przedstawiał ożywiony, pełen różnorodności obraz, pomimo tego, że deszcz ulewny chwilami paraliżował zamiary publiczności, pragnącej zwiedzić wystawę. Wartoż-bo było znieść trochę niewygodę i narazić się choćby na deszcz, aby widzieć to, co się tu znajdowało. Wzrok naszych gospośi mógł się rozkoszować w tym olbrzymiej wielkości i bujności warzyw wszelkiego rodzaju, w tej obfitości uszlachetnionych owoców, nie mówiąc o pozłocistych plastrach miodu, pokrywających sobą całe stoły. Gospodarze zajmowali się gorliwie, pomimo deszczu, próbą narzędzi rolniczych na przyległych polach; a piękne ręczne hafty włościanek znad Seretu, Prutu i dalszych jeszcze okolic były przedmiotem pochwał, zwłaszcza niewieścich miłośniczek i znawczyń tych rzeczy.

Wiadomo, że pszczolnictwo dobrze, umiejętnie prowadzone jest jedną z najkorzystniejszych gałęzi gospodarstwa, tam gdzie warunki miejscowe temu odpowiadają; nie wymaga bowiem tyle nakładów, jak wszelkie inne gałęzie gospodarstwa, a przynosi stosunkowo większy od tamtych dochód. Poczciwa pszczółka zastępuje tutaj miejsce płatnego robotnika i przysparza majątku pasiecznikowi, nie narażając go na żadne prawie wydatki. I dlatego też właśnie może nie pielęgnowano dawniej pszczolnictwa tak troskliwie, jakby należało, spuszczać się całkowicie na ową skrzętną pracę pszczół. Dopiero za naszych już czasów uczyniło pszczolnictwo postępowo ogromny. Pomysł Dzierżona przeobraził je z gruntu, dając początek różnym na pomysł tym opartym systematom budowy ula. Dawniej, aby wybrać miód nagromadzony w ulu, *wybijano* znajdujące się w nim pszczoły, popełniając tym sposobem na własnym majątku istną zbrodnię ekonomiczną, pozbawiając się dobrowolnie siły produkcyjnej, majątek stanowiącej. Ul Dzierżonowski zapobiega temu i odbiera miód bez zadawania śmierci tworzącym go pracownikom. Na Wystawie Tarnopolskiej znajdował się zestawiony umiejętnie przez profesora Ciesielskiego cały przebieg udoskonalenia pszczolnictwa z wszystkimi systematami, obecnie używanymi. Obraz ciekawy i nauuczający.

Osobny pawilon, poświęcony przemysłowi do-

momemu, był częścią wystawy, najbardziej może zajmującą, zwłaszcza dla osób chcących się zaznajomić bliżej z życiem domowym naszego włościanina, z jego poczuciem estetycznym, z kierunkami jego twórczej wyobraźni i pojęciami o zbyt kownych wygodach życia, zaspakajanych dziełami własnej ręki—utworami własnej myśli i pracy. Hafty, któremi włościanki nasze zdobią swą bieleńcą i odzież, znamionują wiele dobrego smaku, w kombinacji barw harmonijnie połączonych i w różnorodności oryginalnych wzorów, których dostarcza im wyobraźnia, czerpiąca proste swe pomysły w otaczającej przyrodzie. Liść różnowzory, ziarno zboża, krzyżek lub jakakolwiek nastrojąca się uwadze pracownicy figura geometryczna, dostarczają nieskończenie różnych motywów do haftu, w którym zawsze przebija swojskość pomysłów czerpanych z własnego otoczenia. Bardzo także podniosło się u nas ostatnimi czasy garncarstwo. Udoskonalenie polewy i malatur przyozdabiających te wyroby postąpiło znacznie, ku czemu pochop w przeważnej części dały wyroby tego rodzaju zmarłego przed kilku laty, nieodżałowanego pod tym względem Bachmińskiego, który szczególniejszym swym talentem przyczynił się wielce do uszlachetnienia ceramiki ludowej, przez oryginalność i artystyczną prostotę wzorów, jakimi garncarskie swe ozdabiał wyroby. Od niego nauczono się łączyć piękność form i wzorów z wymaganiami użytku powszedniego w gospodarstwie; a chociaż, jak przekonują wystawy ceramiczne, obejmujące szersze okręgi kraju, każda niemal okolica posiada swe pewne tradycyjne kształty i wzory naczyń, których się trzyma zasadniczo, to w szczegółach widać postępowe odpowiedni wymaganiom lepszemu smaku i poczucia estetycznego. Na Wystawie Tarnopolskiej dział ceramiki włościańskiej był obficie zaopatrzone i następczo sposobność do licznych porównawczych uwag i ocenienia obecnego stanu garncarstwa krajowego. Rzecz wiadoma, że „nie święci garnki lepią”, ale jakimi drogami i pobudkami ci, co je lepią, samorodni artyści, dochodzą w swym kunszcie tylko szczęśliwym częstokroć trafem do uszlachetnienia smaku, i ozdabiania swych wyrobów coraz nowszymi i piękniejszymi wzorami—dowiedzieliśmy się przypadkiem, oglądając dział garncarski na Wystawie Tarnopolskiej, od jednego z tych właśnie domorosłych garncarzy włościańskich, którego wyroby, odznaczające się pięknnością i oryginalnością kształtów i ozdób, przed innymi zwracały na siebie uwagę, zachowując przy różnorodności pomysłów zasadniczy swojski typ ornamentacyjny. Zapytany: z kąd mu się bierze taka bujność wyobraźni w tworzeniu różnorodnych kombinacji rysunkowych, powabnych prostotą a zawsze odpowiednich celowi i z artystycznym powiązanych wdziękiem:

— Jest u naszego księdza proboszcza — odpowiedział—bardzo piękna książka, w której są wymalowane przeróżnego rodzaju garnki i naczynia, że aż za oczy chwyta, gdy się człowiek temu wszystkiemu przypatrywać zaczyna, i radby sam coś choć w części podobnie pięknego zrobić. Książka proboszcz książki tej nikomu z rąk swych nie pożyczy, bo drogo kosztuje, ale przypatrywać się zawartym w niej obrazkom pozwala chętnie każdemu, ilekroć go poprosi. Gdy się patrzy na te śliczne rzeczy, zaczynają się człowiekowi różne snuć myśli po głowie. Jedno się ztamtać weźmie, drugie samo wymyśli i tak jakoś z Łaski Bożej idzie robota, a gdy braknie konceptu, to człowiek znów zaglądnie do książki na probostwie i znów mu się roją rozmaite rzeczy, które radby jak można najwierniej ulepić i na garnku namalować.

Czytelnicy nasi ciekawi zapewne będą dowiedzieć się, równie jak i ja byłem ciekawy: co to za książka działa tak ożywczo na rozbudzenie wyobraźni artystycznej naszego ludowego garncarza i podsuwa mu temata ornamentyki prawdziwie swojskiej, oryginalnej? Otóż po bliższym zbadaniu okazało się, iż są to kosztem tutejszego Muzeum Przemysłowego, w tym właśnie głównie celu wydawane przez członka zarządu tegoż muzeum, wielce na tem polu zasłużonego, p. Ludwika Wierzbickiego *Wzory przemysłu domowego*, wydawnictwo, o którym swego czasu donosiłem, mające się składać z dziesięciu zeszytów, zawierają-

cych, w wiernem chromolitograficznym odbiciu, kolejno wzory haftów włościańskich, dalej tkaniny, wyroby garncarskie, snycerskie i t. p., któremi lud nasz w różnych okolicach kraju z zamiłowaniem się zatrudnia, ku zaopatrzeniu potrzebnych domowych. Jeden z tych zeszytów, obejmujący wzory domorosłej ceramiki ludowej, był tem źródłem, z którego czerpał garncarz tarnopolski. Najlepsze to świadectwo pożyteczności wydawnictwa, którego celem, jak z jednej strony jest zachowanie od zatury i przeistoczenia pierwotnej tradycyjnej sztuki ludowej, co jak kwiat samorodny na swojskiej niwie wyrasta, tak drugiem, w związku z tem pozostającym zadaniem, jest rozpowszechnienie ile możliwości pomiędzy ludem dobrego smaku i zamiłowania owych tradycyjnych wzorów. A kiedy już o tem mowa, miejsce tu będzie wspomnieć, że obecnie właśnie wyszły dwa nowe zeszyty rzeczonożego wydawnictwa, mianowicie VII i VIII. Jeden z nich zawiera wyroby oryginalne rzeźbiarskie hucula *Skrzyblaka*, który podobnie jak niegdyś Bachmiński w garncarstwie, rozwinął oryginalny talent snycerski i bez nauki, oez narzędzi, jedynie tylko dłutem i młotkiem wyrabia szczególnie piękne, oryginalnie pomyslane drewniane czary, skrzynki, bukłaki i tym podobne naczynia, które przyozdabia mosiądzem i blachą w sposób sobie właściwy, a które też, coraz bardziej się rozpowszechniając, ustaliły sławę jego w okolicy. Każdy z tych zeszytów, podobnie jak i dawniejsze, zaopatrzone jest przedmową wydawcy, w czterech językach, celem szerszego rozpowszechnienia, gdzie znajdujemy treściwie przez p. Wierzbickiego zestawione poglądy na kierunki przemysłu domowego i charakterystykę ornamentyki ludowej u nas, z wykazaniem jej stron zasadniczych, oryginalnych. W zeszytach tym spotykamy nadto krótko podaną biografią *Skrzyblaka*, w drugim zaś, zawierającym dalszy ciąg wzorów hafciarskich z okolic Pokucia, skreślił p. Wierzbicki w przedmowie pogląd etnograficzny na pochodzenie, zwyczaj i obyczaj ludności okolic, z których zebrane wzory podaje. Gdy wydawnictwo dobiegnie do końca, utworzy ono niezmiernie cenne muzeum etnograficzno-artystyczne, w którym pozostaną przechowane skarby wyobraźni, smaku i pracy artystycznej ludu naszego.

(Dokończenie nastąpi)

Kronika działalności kobiecej.

— Ośm zamożnych pań Warszawianek zawiązało dobroczynne kółko i wytworzyło bezpłatną kuchnię na dwadzieścia osób ubogich. Biady wydawane są kolejno, i co dni ośm jedna z zających tych pań daje obiad dwudziestu ubogim. Poczciwy ten czyn znalazł oddźwięk w sercach równie tkliwych i dobrych, ale brak środków stawia często na przeszkodzie chęciom dobroczynnym; że przecież bardzo znaczna liczba kobiet z klas nie pracujących na zarobek, może bez użycia dla obowiązków rodzinnych uczynić dar z trochę trudu swego i kilku wolnych chwil czasu, zebrało się więc w Warszawie inne kółko piętnastu pań, wytwarzając nie bezpłatną, ale rzeczywiście tanią kuchnię na piętnaście osób, robotnic, po 15 gr. obiad. Szwaczki, kwaciarki i wszystkie tego rodzaju robotnice jedzą obiad o koło godziny 6-tej bo wychodzą z magazynów o 5-tej i dają dopiero do swych, zwykle od środka miasta oddalonych mieszkań. Przecież, oile wiemy, wszystkie magazyny dają w południe na użytek robotnic gotujące się samowary, więc każda może sobie zrobić z przyniesionych ze sobą zapasów śniadanie z gorącą herbata, ale potem obiad dla takiej, która rodzinnego domu nie ma, jest ciężkim kłopotem i bywa zwykle strawą lichą za stosunkowo drogie pieniądze nabywaną. Dla takich to więc robotnic bez rodziny wspomniana tania kuchnia jest

przeznaczona i ma wejść w życie z dniem 1 Grudnia. Pocziwie to kółko, które składa dziewięć panien, a sześć młodych mężatek, pragnie się rozszerzyć do drugiej piętnastki, która-by wytworzyła tanią kuchnię po 1 zł. dla nauczycielek, dających lekcyje na godziny i ta tania kuchnia wy-dawałaby obiady między godziną 12-tą a 1-szą. Szczęść Boże!

— Z dozorem osobistym pań w tanich kuchniach łódzkich nie zbyt dobrze idzie, jak wnosić można z ogłoszenia w *Dzienniku Łódzkim*, które donosi, że list imiennych pań dyżurujących, zarząd kuchni podawać nie może z powodu, że panie na które kolej przypada „są najczęściej niedysponowane“. Zarząd zatem zwraca się z prośbą ogólną „do wszystkich pań, aby te z pomiędzy nich, które mają godzinę wolnego czasu i którym dobrobyt bliźnich nie jest obojętnym“, raczyły same zgłaszać się do obejmowania dyżurów dziennych. Zarząd nadmienia przytem, że składanie datków przez panie dyżurujące jest rzeczą zbyteczną, gdyż istnieje fundusz stały na utrzymanie tej, tak wielce użytecznej, instytucji.

— Grono pań wiejskich Powiatu Warszawskiego postanowiło założyć w Warszawie wielki sklep spożywczy, do którego produktu nadsyłaneby były siłami zbiorowemi. Przedsięwzięciu temu życzyć należy najlepszego powodzenia, bo przy czasach ciężkich dla gospodarstwa rolnego produkcyja zwana małą „la petite culture“ która we Francji i w Belgii gra niezmierną rolę w dochodach gospodarstwa wiejskiego, i u nas stać się powinna pomocną przy przebywaniu groźnego dla właścicieli większych przesilenia. Dlaczego przecież sklepy takie, których przed laty kilku pokazała się dość znaczna liczba, utrzymać się nie mogły? Musiało być w ich prowadzeniu, w ich urządzeniu coś wadliwego, co je podkopało, a to tem więcej, że nie potrzebowały one wyrabiać sobie powoli popytu na swój towar; bo przeciwnie, każdy sklep taki budził w publiczności warszawskiej naprzód dawane mu zaufanie, i nawet sympatyę. Należałoby zbadać przyczyny niepowodzenia, aby powodzenie tem pewniej sobie pozyskać.

— Dzienniki donoszą o spodziewanem przybyciu do miasta naszego p. Adeli Wichrowskiej, która, wyuczyszysy się medycyny w Ameryce i owdowiawszy, wróciła do kraju z zamiarem praktykowania. Obecnie pani ta jest zajęta zdawaniem potrzebnego w tym celu examinu.

— Właścicielka wsi Gromadzice, w Powiecie Gpatowskim p. R., powzięła myśl obywatelską zaprowadzenia między kobietami wiejskimi stron tamtych przemysłu koronczarskiego. W tym celu sprowadziła z Warszawy odpowiednio uzdolnioną nauczycielkę, i gdy córka p. R., oraz miejscowa guwernantka, p. C., nauczyły się od niej wyrobu koronek, rozszerzyły naukę do dziewcząt wiejskich, które bardzo szczęśliwie wykształciły się w tej kunsztownej robocie i wprawiły w nią tak już dobrze, że obecnie zdolne są odrabiać z dostarczonych im przez p. R. wzorów koronki w kilku gatunkach i wykończać je na zamówienia otrzymywane z okolicy. Z wielu, z bardzo wielu pożytecznymi gałęziami pracy i wiedzy tak-by być mogło, z pomocą dobrej woli i pocziwego uczucia, z pomocą niewielkiego wydatku grosza, pomnożonego przez pewną liczbę poświęcenia, możnaby tysiące pocziwych czynów dokonywać i zasługę obywatelską sobie skarbić.

— *Iydzien i rotrkowski* donosi, że szkoła koronek w tamtejszem mieście, jakkolwiek zaledwie od kilku miesięcy istniejąca, już tak uzdolniła kilkanaście uczennic, że wyroby ich mogą być przedmiotem zbytu. Okazy mogą być oglądane,

albo na miejscu wyrobu od godziny 3-iej do 5-iej po południu, lub według wskazania redakcyi.

— Szkoła rzemiosł dla kobiet została w Wilnie otwartą. Początkowa nauka obejmie tylko krawiecczynę i introligiarstwo, ale w programie szkoły mieszczą się i inne rzemiosła, na dział pracy kobiecej przypadać mogące. Kwaciarsstwo i wyrób krawatów powinnyby nastąpić z kolei, gdyby doświadczenie tego rodzaju szkół warszawskich zostało wziętem na uwagę. Nauka prowadzenia ksiąg sklepowych, powinnyby się z tem złączyć zaraz, bo żaden sklep, żaden zakład przemysłowo-handlowy, nawet na skalę najmniejszą, nie obejdzie się bez porządnie prowadzonej rachunkowości. Jej brakowi trzeba przypisać wiele niepowodzeń i zawodów.

— Berlińskie Muzeum Przemysłowe otworzyło z początkiem kursów swoich na rok szkolny 1885 obok szkoły rysunkowej dla kobiet klasę kunsztownego haftu i dla prowadzenia takowej sprowadziło z Wiednia dyrektorę, p. Joppich. Zadaniem szkoły jest takie artystyczno-hafciarskie uzdolnienie uczennic, aby mogły według bogatych wzorów, które Muzeum zawiera, wykonywać samodzielnie hafty jedwabiami, oraz złotem i srebrem. Każda z uczennic już powinna umieć rysować, i w tym celu szczególnie pierwszeństwo mają być uczennice szkoły rysunkowej przy muzeum i tym podobnych zakładów. Także wprawę ręki i haftowaniu powinny już uczennice posiadać. Ze względu, że wykształcenie się w takim kunszcie artystycznego haftu ma rozmaite gałęzie swoje, że przytem nauka nie może być dla wielu uczennic jednakowo prawidłową—dlatego też nie ustanowiono żadnego ogólnego kursu z oznaczonym terminowo czasem.

— W Ischl baronowa Marya von Balzberg zawiązała stowarzyszenie dostarczania roboty i zarobku osobom, którem znaleźć to było dotąd najtrudniej, a nawet niepodobna. Tkanie w krosnach domowych kobierców z wygreplowin jedwabiu i różnych tym podobnych odpadków, już inaczey nie użytecznych, stanowi tu główne i szczególnie dobre zajęcie dla dzieci, osób ułomnych, słabych, wiekiem znużonych, a nawet idiotów—wogóle takich, któreby inaczey popaść musiały w nędzę i żyć kosztem miłosierdzia publicznego. Obok tej ręcznej fabryki tkanin zaprowadzone są różne inne gałęzie lekkiej i łatwej pracy ręcznej, jak grube przedzenie, wyrób pończoch i innych przedmiotów na drutach, co wszystko istniało już od lat kilku prywatnie i na mniejszą skalę prowadzone własnymi siłami dobroczynnej i niewątpliwie głęboko uczuciowej kobiety, która zechciała się stać opatrnością ziemską i orędowniczką już najbiedniejszych, najniezszczęśliwszych, najciężej od losu upośledzonych istot. Obecnie, gdy już ta zacna pani wypróbowała w cichości swój system dobroczynnego działania, uczyniła rzecz publiczną i wezwała do współdziałania ludzi dobrej woli.

— Przed dwunasta laty utworzyło się w Anglii kobiece stowarzyszenie wysyłania do Kanady dzieci przestępców na kilkoletnie więzienie skazanych, sierot po takich ludziach i wogóle po ludziach niemoralnych, wreszcie dzieci takichże rodziców, gdy je opuszczą, lub oddać na wychowanie zechcą. Chodziło tu o zasłonięcie tych istot biednych i jeszcze niewinnych, przed wpływami złego wychowania i złych stosunków wśród których rosłyby, psując się mimowoli. Otóż sprawozdanie stowarzyszenia wykazało, że 10,000 dzieci, któreby w Anglii niewątpliwie wpaść musiały w występki, wychowało się zdala od szkodliwego oddziaływania na uczciwych i pracowitych rolników, rosnąc pod opieką kanadyjskich wieśniaków, lub osadników przesiedlonych tam z Anglii.

— W Nowym Yorku utworzyło się wielce dobroczynne stowarzyszenie z celem wysyłania takich robotnic, jak szwaczki, hafciarki, dziewczęta sklepowe, kassyerki, na letnie mieszkanie; opłacając za nie koszta podróży i dwutygodniowego pobytu na wsi. Gdy jednak zostało to ogłoszonym przez dzienniki, znaczna liczba farmerów i usób na wsi zamieszkałych objawiła chęć przyjęcia bezpłatnie tych gości w czasie od miesiąca Czerwca do Września. Towarzystwo zamierza przytem dawać na koszta podróży takim robotnicom powyżej wymienionej kategorii, których rodziny mieszkają tak daleko, że podróż pociągałaby za sobą koszta, których ponieść nie są w możności. Koleje żelazne, uznając szlachetność i pożyteczność tej filantropijnej działalności, obiecały zniżić dla takich podróżnych ceny jazdy.

— Pierwszym posągiem jaki w Ameryce zostanie wzniesionym dla uczczenia kobiety, będzie posąg Małgorzaty Houghery, mający się wkrótce odsłonić w Nowym Orleanie. Czytelnicy naszego pisma znają dzieje życia i śmierci tej szlachetnej kobiety, dwa lata temu podane w piśmie naszym. Była to Siostra Miłosierdzia, której, pielęgnowany przez nią w chorobie bogaty przemysłowiec, zapisał umierając znaczny swój majątek; że przecież lękał się ze strony prawnych swych spadkobierców zakwestyonowania testamentu, władza duchowna Małgorzaty uwolniła ją od ślubów i pozwoliła na zawarcie małżeństwa *in extremis*. Małgorzata przecież przyjęła tylko formę rzeczy, i choć zdjęła suknię zgromadzenia, została zawsze Siostrą Miłosierdzia w najlepszym znaczeniu tego wyrazu: wychowywała sieroty, założyła dla flisów i robotników nadwodnych dom, będący nie tylko tanim hotelem, ale hotelem uczciwym, brońmy więc przeciw złemu i jego pokusom. Zarazem tak mądrze napisała swój testament, tak mądrze go obwarowała, że instytucja ta, rzecz można: moralności publicznej, została wiecześnie ugruntowana. Wzoudziła ona w ziomkach swoich cześć tak wielką, że panie najwyższego towarzystwa pilnowały jej w chorobie, a potem, niedopuszczając rąk najemnych, same odbyły pośmiertne zwłok obmycie i obłożynę do grobu. Senatorowie stanu wraz z gubernatorem nieśli jej trumnę na barkach, wszystkie korporacyje dobroczynne, tak katolickie jak i wyznań reformowanych, szły za ciałem, i teraz oto dostaje uwiecznienie swej pamięci w posągu. W ojczyźnie najwyższej emancypacyi kobiecej, w ojczyźnie pierwszych doktorów, adwokatów i uniwersytetów kobiecych, dostaje pierwszy posąg stara, odwieczna cnota kobieca—cnota miłości i poświęcenia. Rys to charakterystyczny.

— P. Róża Yokay, córka powieściopisarza udała się z Pesztu do Monachium dla wykształcenia się w rysunku ilustracyjnym i w tym celu zwróciła się po naukę do prof. Lietzen-Mayer. P. Yokayówna nie jest zupełnie początkującą w obranej sztuce i już do ilustrowania kilku powieści ojca swego dostarczyła rysunków, z których sądząc, Munkaczy przyznał jej wyższą zdolność.

Do dzisiejszego numeru *Bluszczu* dołącza się arkusz 4-ty tomu II-go powieści pod tyt.: **Dwie**.

TREŚĆ. Mieniające się barwy (poezya), przez Szczęsną.— Słowaczka nowella, (dokończenie), przez T. T. Jeża.— Joanna Carlyle, (dalszy ciąg).— Korrespondencya zagraniczna, Wiedeń.—Przegląd teatralny, przez Stanisława Krzemińskiego.— Korrespondencya zagraniczna, Lwów, (dalszy ciąg).— Kronika działalności kobiecej.

Dodatek obejmuje: arkusz 4-ty tomu II-go powieści p. t.: **Dwie**, przez M. Georgianę Craik.—Przegląd mód.—Wzory ubiorów i robót wraz z opisem.—Sekreta gospodarskie.—Dyspozycyą stołu.